



Jadalnia-salon w Chacie Socjologa w latach 70. Obok wewnątrz. Ludzie na kaju tu azyłu i wspólnie

Góra przemienienia

Odbudowana legendarna Chata Socjologa znów wznosi się na bieszczadzkiej polanie. Spłonęła w styczniu 2003 r., w 30 rocznicę istnienia, jakby symbolicznie. Przebyła tę samą drogę co polska socjologia; w nieco ironicznym skrócie powiedzieć można: od marksizmu do marketingu.

MIROSLAW PĘCZAK

Ci, którzy jako pierwsi przyjeżdżali na Otryt i zaczęli budować jego legendę, sprawiali wrażenie mało praktycznych fanów Nowej Lewicy. Ci, którzy dziś ją kontynuują, zdają się wiedzieć wszystko o wolnym rynku, a ideologia nie jest dla nich podstawowym problemem życiowym. Trochę z tym tak jak z samą socjologią w Polsce: 30 lat temu uprawiano się ją na uniwersytetach, a najzdolniejsi absolwenci zostawali jako naukowcy na uczelniach; dziś młodzi zdolni socjologowie pracują w public relations, w reklamie, firmach badania rynku i innych instytucjach prowadzących badania na zlecenie. Nie zmieniło się tylko jedno: w Bieszczadach, na górze odległej od cywilizacji o 40 minut forsownego marszu (przy dobrej pogodzie), szukają azyłu i wspólnoty.

By tam trafić, trzeba najpierw dotrzeć do Dwernika, zostawić samochód w zaprzyjaź-

nionej zagrodzie braci Ciomborów i niebieskim szlakiem odbyć forsowny marsz pod górę najpierw drogą, a potem wzdłuż potoku. Błoto, kamieniste wyboje. Kiedy Chatę budowano, nieodzowny był DET, ciągnik gąsienicowy radzieckiej produkcji, jedyny chyba środek transportu zdolny pokonać to bezdroże z 400-metrową różnicą wzniesień.

Stary otrytczyk, a zarazem kronikarz Chaty, Tadeusz A. Olszański opowiada, że kiedyś stały tu zbudowane w XIX w. chaty bojowskie. Po wojnie przez kilka lat teren znajdował się w granicach ZSRR, a w jednej z chałup mieścił się posterunek radzieckiej straży granicznej. W 1951 r. skorygowano granicę i Otryt powrócił do Polski, ale nikt nie chciał się tu osiedlać i pozostałości dawnych gospodarstw rozebrano. Przez długie lata było to prawdziwe odludzie, leżące z dala od szlaków turystycznych, aż do 1973 r. – kiedy Henryk Kliszko (socjolog, dziś wykładowca na Uniwersytecie Podlaskim w Białymsto-

ku) wraz ze Stanisławem Norbertem Wasilewskim (znanym działaczem turystycznym) i niewielką grupą przyjaciół zainicjowali budowę chaty w Bieszczadach.

Takich chatek studenckich było wtedy sporo. Działała magia Bieszczad jako terenu dziewiczego, odległego od cywilizacji Bieszczady były modne. W Przystupie Czarńskim, kilka godzin marszu od polany na Górnym Otrycie, chatę zasiedliła hipisująca młodzież, która w Bieszczadach szukała pozasystemowego azyłu; inne podobne miejsca funkcjonowały na zasadzie tanich studenckich schronisk. Chata na Otrycie miała być jednak czymś innym.

Kiedy spłonęła – akurat w trzydziestą rocznicę swojego istnienia – w pogorzelisku można było znaleźć niedopalone fragmenty wydanych w latach 50. „Dzieł” Lenina – po pozostałości po czasach, gdy Klub Otrycki, skupiający młodych pracowników i studentów warszawskiej socjologii tudzież innych kierunków uniwersyteckich, działał jako klub dyskusyjny, który chętnie oddawał się sporom teoretycznym o sens i rację bytu ideologii marksistowskiej.

Liderem tej grupy był współtwórca Chaty Henryk Kliszko. Z jego inicjatywy umieszczono przy Chacie czerwoną flagę, która po wieżała tam przez dwa sezony: 1976–1977 przyczyniając się wydatnie do rozpowszechnienia wśród bieszczadzkich turystów opi-



Od lewej: Stary otryczyk Tadeusz A. Olszański z Julkiem Głowackim, szefem odbudowy Chaty, przed Lektorium-Kliskówką. Po prawej: Igor Czajka. Stowarzyszeniem Klub Otrycki rządzi dziś pokolenie 30-latków.



Odbudowana Chata Socjologa na Otrycie. Najbardziej chyba liczy się genius loci. Poniżej: Chata w latach 70.



© ARCHIWUM OTRYTY

nił o Otrycie jako marksistowskim klasztorze i wylegarni lewactwa.

Oficjalni partyjni działacze podejrzewali otryckie środowisko o rewizjonizm. Tadeusz A. Olszański pisał w artykule opublikowanym dwa lata temu w „Almanachu Karpackim PLAJ”: „Chata miała stać się domem pracy twórczej, czy raczej ośrodkiem swobodnej dyskusji oraz miejscem pracy fizycznej. Ta ostatnia była otaczana swoistym kultem, trochę rodem z Marksa, trochę – z inteligenckiego kultu robotnika (...). Środowisko otryckie było autentycznie lewicowe, bardziej niż ówczesne komunistyczne elity władzy, które zastąpiły ideowość cynicznym pragmatyzmem”.

Olszański pokazuje chatkę, która stoi nieopodal dużej wiaty, gdzie ma się odbyć ognisko z pieczeniem barana na pożegnanie sezonu – to jest Lektorium, czyli Kliskówką. Chata miała utrzymywać wspólnotę, a Lektorium, zgodnie z nazwą, służyło jako spokojne miejsce pracy umysłowej. Najczęściej przesiadywał tu Henryk, stąd Kliskówka.

Czerwoni rebelianci

Przygodny wędrowiec, który trafiłby do Chaty Socjologa w połowie lat 70., zdziwiłby się zapewne na widok popiersia Lenina stojącego na kominku w głównej izbie. A też mieszkańcy mogli sprawiać wrażenie osobli-

we: ni to turyści, ni to uciekinierzy od zgiełku miasta, coś między sektą a grupą seminaryjną. W Warszawie na Uniwersytecie o Chacie i związanym właśnie Klubie Otryckim przy Instytucie Socjologii już było głośno. Jedni mówili w tym kontekście o tajemniczej przybudówce Zsypu, czyli Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, inni o nawiedzonych leninistach, którzy nawet w Bieszczadach organizują sobie poranne apele z „Międzynarodówką”, ale studenci socjologii przeważnie wyrażali się o Klubie Otryckim z sympatią, choćby dlatego, że sympatią cieszył się młody asystent Henryk Banaszak, który studentów na Otryt sprowadzał na specjalnie urządzone obozy i akurat on nie z nudzał ich dyskusjami o marksizmie.

Trzeba jednak przypomnieć, że przynajmniej przed wydarzeniami czerwca 1976 r. marksizm nie wydawał się nawet skłonny do kontestacji studentom czymś, co automatycznie musiało być kojarzone z urzędowym komunizmem czy systemem PRL. Co poniektórzy próbowali nawet w czasie dyskusyjnych wieczorów w otryckiej Chacie stosować analizę marksowską do krytyki PRL. Według wielu z nich, myśli klasyków należało czytać z neomarksistowskiej perspektywy, na przykład Althussera albo Marcusego, duchowego ojca młodzieżowej rebelii lat 60. tudzież krytyka marksizmu sowieckiego. Niedługo po-

tem zaczął być wydawany dwumiesięcznik „Colloquia Communia”, filozoficzno-socjologiczny magazyn, wokół którego skupiło się środowisko częściowo związane z Klubem Otryckim, zaś jego pierwszym redaktorem naczelnym został Henryk Kliszko.

Obie te inicjatywy miały charakter oficjalny, były aprobowane przez władze Uniwersytetu, chociaż warszawski Komitet Wojewódzki PZPR, ostoja tak zwanego partyjnego betonu, traktował je mocno nieufnie. Jacek Raciborski, współzałożyciel i jeden z redaktorów „Colloquia Communia” i członek Klubu Otryckiego, dziś profesor w Instytucie Socjologii UW, mówi, że słano do Komitetu donosy – że bywa na Otrycie wroga władzy ludowej Jadwiga Staniszkis albo Józef Balcerk, radykał i anarchosyndykalista; że profanuje się „Międzynarodówkę”, że pije się wódkę. Klub miał jednak pewną ochronę ze strony partyjnych liberałów, którzy przekonali towarzyszy z wierchuszki, że lepiej, by młodzież akademicka zbierała się na Otrycie, niżby miała angażować się w działalność KOR.

Utopia przyjaźni

Powodem partyjnej nieufności było najpewniej też i to, że chodziło o środowisko trudne do ścisłego kontrolowania, rozdyktowane i w sporym stopniu nieformalne. Zresztą, nie każdy otryczyk był akurat fanem marksizmu. Owszem, ton nadawali lewicowcy, bywali na Otrycie np. Piotr Ikonowicz i Krzysztof Markuszewski, obaj zaangażowani w latach 80. w podziemie opozycyjne, a potem w restaurację PPS, ale bywał też Ludwik Dorn. Starym otryczykiem jest Wojciech Józwiak, fizyk zainteresowany ezoteryką, szamanizmem i kulturami Wschodu, dziś publikujący w magazynie „Wróżka” artykuły o astrologii.

Dziś ludzie z Klubu Otryckiego, również z jego dawnych czasów, mówią, że ideologia nie zawsze dominowała. – Były dwa nurty – wspomina Raciborski. – Turystyczno-rozrywkowy i ideologiczny, dyskusyjny, który zresztą pod koniec lat 70., kiedy powstała „Colloquia”, w dużej mierze przeniósł się ▶

► do Warszawy. Do Chaty jeździło się na wakacje, na sylwestra, a niekoniecznie, jak bywało na początku, żeby się na śmierć zadyskutować.

Potwierdzają to inni. Juliusz Gardawski, prof. socjologii w PAN, i jego żona Beata – z Chatą i Klubem związani od początku – mówią, że najcenniejszym doświadczeniem Chaty Socjologa było budowanie środowiskowej wspólnoty. Łączyła fascynacja Bieszczadami, niechęć do wielkomiejskiej rutyny i szczególnego rodzaju utopia, wedle której byt społeczny może opierać się, jak prawie 100 lat temu pisał Edward Abramowski, na związkach przyjaźni. I te związki przyjaźni rzeczywiście się budowały, nawet więcej, bo cementowały się nie tylko przyjaźni, ale i małżeństwa – nie tylko Gardawskich, ale też na przykład Henryka Banaszaka i Ewy Lewickiej.

Zdaniem prof. Raciborskiego, wizerunek Klubu Otryckiego jako marksistowskiego klasztoru jest mocno zmitologizowany. Owszem, był marksizm o formule – jak to później nazywano – otwartej, zdarzali się ludzie przyznający się do trockizmu, ale nie jest też przypadkiem, że większość otrytczyków z entuzjazmem powitała Solidarność. W latach 80., powiada prof. Raciborski, nikomu już nie chciało się w Bieszczadach gadać o marksizmie.

Duchy chcą nowego

Dziś nikt już o marksizmie nie gada, choć na stole w sali kominkowej odbudowanej Chaty leży jakaś sowietologiczna książka o Stalinie. Gada się za to o odbudowie. Julek Glowacki, zwany tu przez wszystkich Julem, patrzy na Chatę niemal jak na własne dziecko. Mógłby godzinami opowiadać o metodach łączenia krokwi, by miały przepisową długość 12 m. Juło, wykształcony etnolog, jest akurat menedżerem międzynarodowej firmy produkującej złącza do drewna – to jeden z zasadniczych powodów, dla których został szefem odbudowy. – *Kiedy Chata splonęła, nikt nie wierzył, że zbudujemy ją na nowo – mówi. – Ludzie machali ręką, ot, grupka entuzjastów amatorów wymyśliła sobie nierealne do wykonania zadanie. No i proszę, Chata stoi, równo rok temu zawiesiliśmy wiechę.*

Odbudowa aktualizuje mit założycielski Otrytu. 32 lata temu podobna siedmioosobowa ekipa romantycznych entuzjastów zbudowała wszak tę pierwszą legendarną Chatę, nowa jest niemal literalnym powtórzeniem tamtego wydarzenia. Najbardziej chyba liczy się *genius loci*. Na stronie internetowej poświęconej Otrytowi ktoś napisał, iż jest to góra przemienienia, miejsce magiczne, w którym można się odrodzić duchowo. Ktoś inny dodał, że kompasy tu wariują z powodu anomalii magnetycznych, co tylko potwierdza opinię o niezwykłości otryckiej polany. Tuż po spaleniu się pierwszej Chaty Wojciech Józwiak, który organizował tam warsztaty szamańskie, pisał w internetowym piśmie „Taraka”: „Samospalenie się Chaty znaczyć może przecież, że duchy tego miejsca życzą sobie, aby coś nowego tam zaczęło się dziać”.

No i dzieje się. Otrytczyki chcą, by Klub stał się dobrą przestrzenią zarówno bycia razem, jak i konfrontacji poglądów. Stowarzyszeniem Klub Otrycki rządzi dziś pokolenie 30-latków. Marcin Ząbek, obecny prezes, jest oficerem Wojska Polskiego, Igor Czajka, poprzedni prezes – specjalistą od Internetu, Michał Aleksandrowicz – menedżerem w firmie PR. Młodzi szanują romantyczną tradycję Otrytu, ale Stowarzyszenie musi zabiegać o finanse, więc bardzo się liczy umiejętność pozyskiwania sponsorów, negocjowania z odpowiednimi urzędami i ogólnie – pragmatyzm w podejściu do rzeczywistości. Na pierwszy rzut oka otrytczyki sprawiają wrażenie bardzo luźnego towarzystwa, ale wystarczy wejść na internetową stronę www.otryt.bieszczady.pl, by przekonać się, że działalność Klubu to nie wyłącznie entuzjazm, ale też precyzyjnie konstruowany plan.

Chata szuka gospodarza

Ludzie przyjeżdżają na Otryt nie tylko w czysto turystycznych celach. Co roku odbywają się tu pierwszomajowe happeningi, a w maju 2003 r. otrytczyki zorganizowali prapreferendum europejskie, by poprzeć wstąpienie Polski do Unii. Co roku pod koniec września albo na początku października jest ognisko z pieczeniem barana, na które zaprasza się też miejscowych sołtysów. Michał Aleksandrowicz wierzy w skuteczną konsolidację środowiska, i to nie tylko warszawsko-bieszczadzkiego. Ma nadzieję, że Otryt stanie się czymś w rodzaju ośrodka wymiany kulturalnej: – *Juz nawiązaliśmy kontakty z Ukraincami, urządzamy nawet pokazy filmów, jest życzliwość ze strony miejscowych władz, być może bardziej, niż bywało wcześniej, wspomóż nas Uniwersytet, ale najważniejsze, że nie brakuje wiary w sensowność tych działań i pomysłów.*

Michał ma pomysł, by zainteresować nimi także polityków. Na Otryt może nie pojadą, ale w Warszawie można przecież organizować spotkania, gdzie swoje poglądy ścierałoby na przykład Marek Borowski z Ludwikiem Dornem. Michałowi nie ciąży lewicowe brzemie przeszłości Klubu, opowieści o tym, że bohaterem dawnych otrytczyków był ktoś taki jak Che Guevara. Pewnie dlatego, że sam skłania się ku lewicowym poglądom. W każdy czwartek starzy i młodzi otrytczyki spotykają się w pubie niedaleko warszawskiego Muzeum Wojska Polskiego. Jest piwo, wspomnienia i rozmowy o aktualnościach. Kiedy jednak towarzystwo zjeżdża w Bieszczady, sympatie i antypatie polityczne tracą na znaczeniu. Ważniejszy okazuje się choćby „Śpiewnik otrycki” z piosenkami Stachury, Wolnej Grupy Bukowina, Jacka Kleyffa i Salonu Niezależnych.

Teraz Chata Socjologa poszukuje nowego gospodarza, kogoś, kto będzie w niej przebywał stale. Klub Otrycki jest przecież klubem ludzi mocno zajętych. Kto urządzi tu azyl, w którym zapominałoby się o wyścigu szczurów i kapitalizmie, tak jak kiedyś zapominało się o uświadomionej konieczności?

MIROSLAW PECAK
FOTOGRAFIE STANISLAW CIOK